Wyjeżdżam daleko

pamięci Artura Fryza (1963-2013)

Artur Fryz właściwie pojawił się znikąd. To znaczy najpierw urodził się i mieszkał w Ostrowie Wielkopolskim, potem studiował na KUL-u, gdzie podobno widziano w nim następcę Herberta, wreszcie trafił do Kutna i w życie tego nieco skostniałego miasta wniósł ożywczy powiew.

Działał, organizował, powoływał, prowadził, wydawał, pisał. Został nawet radnym miejskim, choć polityka nie interesowała go tak jak poezja. Ale była mu potrzebna, bo przecież za pomocą polityki utorował drogę poezji – dzięki jego uporowi i bezczelnej wierze w siłę sztuki Kutno stało się Środkiem Poezji. Ogólnopolski festiwal i towarzyszący mu konkurs na poetycki debiut stały się jedną z najciekawszych imprez literackich w kraju. Takie rzeczy są możliwe – w Warszawie, Wrocławiu, Krakowie. Ale w Kutnie? Nikt o tym by nie pomyślał. Ale Artur był szalony. I udało mu się. Kutno stało się ważnym miejscem na literackiej mapie Polski. Można wręcz powiedzieć, że historia Kutna dzieli się na dwa etapy – przed Arturem i za panowania Artura. Od niedawna mamy do czynienia z etapem trzecim – po Arturze.

Artur był wyrazisty i charyzmatyczny, co nie wszystkim mogło się podobać. Ale był przy tym uroczym, dobrym, przyjacielskim człowiekiem. Jeden z poetów o odmiennym światopoglądzie powiedział o nim: „Można się było z nim nie zgadzać, ale nie przeszkadzało to w prowadzeniu długich przyjacielskich rozmów". Artur był lekarstwem na tę przeklętą chorobę, która po zainfekowaniu życia społeczno-politycznego zaczęła trawić także światek literacki. Był ponad podziałami. Owszem, miał swoje racje, ale nie zamykał się na racje innych. To rzadka cecha w skłóconym środowisku.

Jego wiersze były nieco inne niż ich autor. Bardziej wyciszone. Zupełnie jakby Artur uważał, że liryczność i refleksyjność nie rymują się z zaangażowaniem i doraźnością. Były zaproszeniem do wewnętrznego świata Artura. Świata, który – widać to w pełni dopiero teraz – był silnie naznaczony bólem istnienia. Dopatrywać się w jego twórczości jakichś znaków, za pomocą których obłaskawiał śmierć i niejako ją zapowiadał, widzieć to, co wcześniej było zakryte i nagle w najbardziej okrutny sposób objawiło swoją oczywistość – jakież to nieuprawnione! Ale zarazem – jakże intrygujące. I dlatego nie mogę uciec od takiej lektury. Otwieram wydaną w łódzkiej Kwadraturze książkę Artura „czytanie z księgi świętego kłapouchego" i śmierć rzuca się do oczu z każdego niemal wiersza. Pierwszym zdaniem, na które przypadkowo pada spojrzenie, jest fraza „kiedy umrę". Tom ten Artur otworzył zdaniem: „właśnie wyszedłem na wolność".

Zaledwie dwa tygodnie przed tragicznym dniem brałem wraz z Arturem i kilkoma zaprzyjaźnionymi poetami udział w imprezie „Tuwim obecny" – każdy z nas czytał swój wiersz, będący odpowiedzią na tekst Tuwima. Spotkanie było niezwykle udane. Piotr Grobliński planował kolejne – tym razem poświęcone Herbertowi. Artur przystał na to z ochotą. A teraz czytam jeden z jego wierszy. I te końcowe wersy: „wyjeżdżam daleko/za blisko//w milczenie". Artur nie napisze i nie przeczyta już niczego. Wybrał milczenie. Wybrał wolność.

Maciej Robert